JÓZEF ZAWADZKI

Darwinizm i neodarwinizm największą kpiną z nauki i z rozumu w historii ludzkości

Ani, Marcinowi, Łukaszowi, Martynce i Miłoszkowi

Wrocław 2026

© Copyright by Józef Zawadzki, 2026
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Autor: Józef Zawadzki
Tytuł: *Darwinizm i neodarwinizm największą kpiną z nauki i z rozumu w historii ludzkości*
Skład i łamanie: Józef Zawadzki
ISBN: 9788398114202

Wrocław 2026

Spis treści

Wstęp 5

Zanim Darwin rozpoczął wielki tumult myślowy w społeczeństwie 21

Kościół katolicki i darwinizm 28

Ewolucja biologiczna 32

O rasach mówiono już wieki przed Darwinem 49

Biolodzy nie są zgodni co do tego czym jest życie 56

Samorództwo po liftingu 59

Gatunek, czyli co 63

Walka o byt i dobór naturalny 77

Dobór naturalny jest tautologią, niczego w ewolucji nie wyjaśnia 84

Darwinowskie drzewo życia 99

Niedorzeczność tzw. eksperymentów ewolucyjnych 106

Genetyka mendlowska zmiata teorię Darwina i neodarwinizm 111

Podobieństwa molekularne nie są dowodem na wspólne pochodzenie organizmów 124

Zegary molekularne to jedno wielkie oszustwo 128

Przypadku nie da się oswoić 131

Głupia rzęska czy wić zadaje kłam darwinizmowi 143

Epigenetyczna rewolucja 147

Tzw. mikroewolucja w kontekście darwinizmu jest bez znaczenia 153

Darwiniści i dzisiaj widzą ewolucję 155

Błędne koło narządów homologicznych 160

Darwiniści nie mogą sobie poradzić z teleonomią w organizmach żywych 164

Dane paleontologiczne przeczą darwinizmowi 170

Co mówią tzw. żywe skamieniałości 184

Dowody z biogeografii 186

„Małpolud wodny" obnaża ewolucyjne bajania, co do pochodzenia człowieka 191

Narządy szczątkowe nie istnieją 204

Darwinizm nie rozwiązuje też zagadki samoświadomości i mowy człowieka 209

Zakończenie 219

Bibliografia 221

Wstęp

Zacznę od uwagi, że na temat ewolucji biologicznej wiemy znaczniej mniej niż się powszechnie ludziom wydaje czy raczej dużo mniej od tego, ile usiłują nam wmówić ewolucjoniści, czyli wyznawcy darwinizmu. Większość z nas nie zdaje sobie sprawy, że te setki mniej lub bardziej opasłych tomów ją opisujących ma w gruncie rzeczy ten sam status epistemologiczny co, może czasem interesujące, ale jednak bajki. Zgadzam się z N. Chomsky, że naszą niewiedzę można podzielić na problemy i misteria; wygląda na to, że z ewolucji biologicznej zbyt pośpiesznie i w sposób nieuprawniony, jak mniemam, uczyniono właśnie problem, czyli uznano, że nawet, jeśli nie znamy pełnego (tak Chomsky rozumie problem) rozwiązania, to mamy pewne przypuszczenie odnośnie tego, czego szukamy, a wiedza tycząca ewolucji biologicznej wciąż rośnie. Ewolucjoniści chętnie zgodzą się, że nie wszystko jeszcze tu rozumiemy, ale stawianie pytania czy darwinowska ewolucja biologiczna rzeczywiście ma miejsce, jest według nich niedorzecznością. Oni już dawno orzekli twierdząco. Na czym ufundowali to twierdzenie? Ano na swoich bajaniach i wierzeniach. Tylko i wyłącznie na tym. Analiza metodologiczna tej ich „teorii" nie pozostawia żadnych złudzeń. To nie jest, w naukowym sensie, żadna teoria. Dlaczego? Bo nie wypełnia kryteriów badania naukowego, nie ma tu wszystkich kolejnych kroków, elementów, które decydują czy coś jest teorią, wiedzą naukową czy też tylko nic nie wartą spekulacją.

Już uczniowie szkół średnich doskonale wiedzą, że pierwszym etapem w badaniach biologicznych (w każdych zresztą) jest obserwacja. I ten etap ewolucjonistom, jak najbardziej, zaliczamy: od wieków mamy tysiące obserwacji dotyczących nieprzebranego bogactwa gatunkowego organizmów. Wiele z nich jest doskonale opisanych, znamy ich budowę, biologię, itp. Ewolucjoniści spełniają też drugi krok badania naukowego tj. formułują problem badawczy pytając, skąd to bogactwo gatunkowe na Ziemi się wzięło? Nie budzi też zastrzeżeń stawianie przez nich hipotez na ten temat. Karol Darwin hipotetycznie przyjął, że gatunki powstają jedne z drugich (transmutacja), a ich przekształcanie rozpoczęło się miliardy lat temu, od jakiegoś pojedynczego wspólnego przodka. Motorem tych przemian ma być zmienność organizmów, tzw. dobór naturalny i dziedziczenie cech. Dyskwalifikacja darwinizmu rozpoczyna się w kroku następnym badania naukowego, tj. na etapie weryfikacji hipotezy badawczej. Ani Karol Darwin, ani dziesiątki jego wyznawców nie potwierdzili tej hipotezy. Nie przedstawili najmniejszych nawet dowodów na jej prawdziwość, choćby jednego przykładu, że z gatunku A powstał gatunek B. Pominę, już z litości wobec nich, pytanie o to, co się stało z gatunkiem A, skoro jego osobniki były gorzej przystosowane? Okrzyknięto jednak (i wciąż wrzeszczą), że takie dowody mają, naciągając ekotypy gatunku, jako dowód na powstawanie nowych gatunków czy też w zmienności modyfikacyjnej dopatrując się tegoż. Niestety, tylko w swoich głowach mają owe dowody.

Powyższe nie pozwala przyznać ewolucji biologicznej statusu teorii. Tak, więc darwinizm, neodarwinizm czy syntetyczna teoria ewolucji nigdy nie była i nie jest,

na gruncie metodologii nauk, teorią. Jeśli ewolucjoniści podadzą niepodważalne dowody na prawdziwość ich hipotez, to darwinizm dopiero wtedy stanie się teorią.

Twardych dowodów od ponad 150 lat nie przedstawili, ale są i tacy, szczególnie dla nauki niebezpieczni, którzy twierdzą, że teoria naukowa nie wymaga dowodów. Według tych mędrców wystarczy, że w jej ramach da się poukładać, wyjaśnić wszystko, co daje się zaobserwować w obejmowanym przez nią zakresie. I to ma wystarczać. Tyle, że dobrze skonstruowana bajka też może spełniać to ich kryterium. Twierdzę, że ewolucja biologiczna to jednak misterium w rozumieniu Chomskiego i jedyne, na co nas stać wobec niej, jeśli w ogóle istnieje, to zdumienie i przyznanie, że naukowo wyjaśnić jej nie potrafimy. Brak rozróżnienia problemów i misteriów Chomskiego być może bierze się z braku pokory i z obecności pychy u niektórych naukowców. Powstają setki tomów o ewolucji biologicznej, a więc o czymś, co w rzeczywistości nie istnieje. Nie wierzysz im? No, to jesteś płaskoziemcem.

Choć nie ufam wielu badaniom sondażowym, to te dotyczące percepcji ewolucji wśród ogółu społeczeństwa nie wydają się być niewiarogodnymi, nierzetelnymi – dlaczego sondażownia miałaby kłamać, skoro to nie politycy manipulatorzy zamawiają badanie – tu wręcz odwrotnie, raczej naciągałaby wynik w drugą stronę. Oto z badań wynika, że teoria ewolucji nie ma powszechnej akceptacji społecznej, a duży odsetek badanych (nawet do 50%) podkreśla, że teorii tej brakuje dowodów. Ewolucjonista powie, że mamy tu do czynienia ze „zwykłymi ludźmi" i ich przekonania w kwestii teorii Darwina nic nie znaczą. Zauważmy tu jednak, że inne teorie, rzeczywiście naukowe, nie są przez owych „ zwykłych ludzi" kwestionowane w tak dużym stopniu. Co to może oznaczać? Tylko to, że tzw. zwykli ludzie mają więcej rozumu niż utytułowani, ajakże,ewolucjoniści,bardzoniewielepamiętającyalbonienadążający za najnowszymi badaniami z zakresu biochemii, biologii molekularnej czy innych „twardych" dyscyplin biologicznych.

Termin ewolucja ma wiele różnych znaczeń; mówimy np. o ewolucji czyichś poglądów, ewolucji gwiazd, o zmianach czegoś w czasie, ale znaczenie, jakie temu terminowi nadano za sprawą Darwina i jego wyznawców, odnosi się do ewolucji biologicznej, czyli powstania życia i jego przebogatej różnorodności gatunkowej. Oczywiście, sceptyczny stosunek do darwinizmu nie oznacza, że musimy w ogóle zrezygnować z naukowego podejścia do pytania jak powstało życie, jak powstały gatunki, jak powstał człowiek. Chcę w tej książce jedynie wykazać, że tzw. teoria ewolucji, ta, której w tej postaci początek dał Darwin, ta, o której uczą nas w szkołach, i o jakiej, broń mnie Panie Boże, ja sam w nich nauczałem (dobrze, że w programach szkół średnich to tylko parę godzin), ale także na uniwersytetach, jest niczym więcej, jak tylko bajką. Jest to jedynie opinia pana Darwina i takową niechby pozostała, nikt specjalnie dzisiaj, by się już ją nie zajmował. Jednak nie, z tej opinii „na siłę" uczynili, na szczęście tylko werbalnie, teorię i od stuleci wmawiają światu, że tak, a jakże, darwinizm po wszystkich liftingach i wręcz resuscytacjach krążeniowooddechowych jest teorią, która rzekomo doskonale tłumaczy skąd się wzięło życie, jak powstały niezliczone gatunki organizmów i wreszcie… jak powstał człowiek. Kto to uczynił i kto wmawia? Ano dziesiątki takich naukowców jak np.

Haeckel, Dawkins, Coyne, Futuyma czy sam Darwin, którego przekonywały, może nie do końca, także wywody jego klakierów.

Wizja, że gatunki w przyrodzie powstawały jedne z drugich, jest w istocie odrodzoną przedchrześcijańską, przyswojoną przez współczesną kosmogonię ewolucyjną, ideą pogańską o przechodzeniu jednych bytów w inne. Z nauką to nie ma nic wspólnego i nigdy nie miało.

Rozszerzenie „ewolucji" na „ewolucja biologiczna" jest, owszem uprawnione, ale powinno się przez nie rozumieć to, i tylko to, że byty biologiczne podlegają zmianom, jak zresztą wszystko, co na tym świecie istnieje. Jednak uzurpacja, że zmiany te, to wynik działania jakiegoś tam doboru naturalnego, który miał doprowadzić do, nawet w pełni jeszcze nierozpoznanego, zdumiewającego bogactwa gatunkowego na Ziemi, wyprowadzo- nego od jednego przodka (niech by ich było nawet kilku), jest prymitywnym nadużyciem, które Darwinowi można jeszcze wybaczyć, ale darwiniści nadawali i wciąż nadają większe znaczenie jego pracy niż nadawał jej, w każdym razie na początku, on sam. Dla dzisiejszych uczonych typu Dawkins, tego od „Boga urojonego", czynienie z doboru naturalnego jakiegoś demiurga, który może stworzyć wszystko, gdy chodzi o organizmy, to już ewidentny blamaż. Parafrazując nieco Percy Raymonda, który o swoich kolegach paleontologach kpiąco twierdził, że w swym lamarkizmie prześcignęli nawet Lamarcka, można by rzec, że darwiniści w swym darwinizmie prześcignęli samego Darwina.

Również uczeni duchowni, a w tym ks. prof. Michał Heller, Laureat Nagrody Templetona i autor wielu ciekawych, a mądrych książek, tak pisze o ewolucji biologicznej: Oczywiście, można tych odkryć nauki nie uznawać, jak można wierzyć w sztuczki Harry'ego Pottera. Ale jeżeli ktoś głosi, że Kościół sprzeciwia się teorii ewolucji, kompromituje się w oczach uczonych i wielu myślącym ludziom zamyka drogę do religii. Następnym krokiem, po odrzuceniu teorii ewolucji, powinno być zakwestionowanie ewolucji kosmosu, (bo obie stanowią jedność).

Są jednak poważne wątpliwości, co do, niejako uwierzytelniania ewolucji biologicznej, ewolucją kosmosu. Z tego, że ewoluowały pierwiastki, galaktyki, gwiazdy, cały kosmos, wcale nie wynika, że ewolucji w sensie darwinowskim podlegały i podlegają organizmy żywe. Wprawdzie w minionym wieku Wasmeann głosił, że „akceptacja ewolucji gatunków organicznych jest jedynie logiczną konsekwencją ewolucji kosmicznej i geologicznej , ale to była i taką pozostała, tylko jego opinia. Od biedy, jakichś bardzo słabych analogii między ewolucją np. gwiazdy a życiem osobnika, w sensie od ich narodzin do śmierci, tak, można się doszukiwać. Ale tu nie ma mowy o ewolucji w sensie darwinistycznym. Mówiąc, że ewolucje te stanowią jedność czy choćby są do siebie zbliżone, jest tylko założeniem, opinią, hipotezą. A hipotezy, choćby i najpiękniejsze, porywające, cudowne w swej prostocie, pozostaną hipotezami, dopóki nie znajdą potwierdzenia w nauce, czyli nie zostaną udowodnione. Nawet wtedy, gdy będą to hipotezy powstałe w najbardziej uczonych, mądrych głowach.

K. Popper słusznie zaprzeczał bajaniom darwinistów, jakoby darwinizm, tym samym neodarwinizm był teorią naukową; jest jedynie „metafizycznym programem badawczym"[6], czymś niesprawdzalnym (niefalsyfikowanym), a w kwestiach różnorodności gatunkowej organizmów żywych nic niewyjaśniającym, nieprzewidującym. I takim najprawdopodobniej pozostanie na zawsze, gdzieś w lamusie poronionych doktryn, które przez wieki mamiły

uczonych jak i laików. Ale nawet tak jawnie krytyczne wobec darwinizmu stanowisko Poppera, próbuje zamazywać ks. prof. M. Heller, kiedy mówi, że: „Należy podkreślić, że gdy Popper twierdzi, iż teoria ewolucji nie jest falsyfikowalna, lecz jest doktryną metafizyczną, nie oznacza to w jego ustach deprecjacji teorii ewolucji, lecz przeciwnie — docenienie, a nawet uwypuklenie jej znaczenia". Ksiądz Profesor zdaje się tu nie zauważać, że powiedział nieco innymi słowami, „czarne jest białe", powtórzył to, co twierdzą darwiniści oszukując ludzi, że darwinowska ewolucja biologiczna jest faktem i ma rangę teorii naukowej. Oddajmy, więc jeszcze głos K. Popperowi: „..To znaczy Darwinowska teoria ewolucji, nie dysponuje wystarczającą mocą, aby wyjaśnić ziemską ewolucję rozmaitości form życia(podkreślenie moje), niewątpliwie sugeruje tę rozmaitość, a tym samym kieruje na nią uwagę" Tylko po cóż komukolwiek, jakakolwiek teoria, która ma sugerować coś, co jest intersubiektywnie stwierdzalne przez wszystkich – różnorodność świata organizmów żywych? Owszem, dla Poppera, i nie tylko dla niego, darwinizm ma znaczenie, ale jako program badawczy właśnie. Przestarzały już bardzo, ciągle na kroplówkach aplikowanych przez ewolucyjnych janczarów, którzy nie są świadomi, że opowiadają bajki.

I jeszcze ta kpina o powrocie do twierdzenia, że świat został stworzony cztery tysiące lat temu. Biblia nie podaje nigdzie takiego okresu (to, że na jej podstawie niektórzy, jak np. prymas Irlandii James Usser, wyliczył, iż świat zaczął się w południe 4004 r. p.n.e., niczego tu nie zmienia), Księga ta nie jest podręcznikiem naukowym, lecz natchnionym tekstem literacko opowiadającym o Bogu i o stworzeniu, o czym kto, jak kto, ale ksiądz profesor doskonale przecież wie.

Darwin wprowadził do ewolucji swoistą maszynę zastępującą Stwórcę, która przez miliony lat wyprodukowała, z jednego wyjściowego, wszystkie wymarłe i żyjące gatunki organizmów. Cóż to za maszyna? Ano wspomniany tu już „dobór naturalny", ta zwodnicza hipostaza, która według Darwina i darwinistów, musi istnieć, choć nikt go nie widział, skoro na Ziemi mamy takie bogactwo życia gatunkowego, a na akt kreacji Stwórcy zgodzić się nie można. Mimo, iż ów dobór naturalny był krytykowany od momentu, kiedy Darwin zaczął o nim bajać, to darwiniści, łącznie ze współczesnymi, kurczowo się go trzymają, bo „wyjaśniają" nim wszystko, co w ich ewolucji nie jest jasnym i oczywistym. Sam dobór naturalny wcale jasnym nie jest. Żeby sensownie o nim mówić w nauce, jaką jest biologia, powinien on mieć charakter definicji operacyjnej, a to znaczy, że powinien być mierzalny. Zapytajmy największych guru współczesnego neodarwinizmu, jak można mierzyć ów dobór? Ha, wzruszą ramionami i prawdopodobnie nazwą nas płaskoziemcami. Nie zmieni to faktu, że jest on wytworem fantazji, a nie żadną rzeczywistością. Teoria, w której taki dobór jest jej rdzeniem, nie jest, na gruncie nauki, żadną teorią.

Nie kto inny, tylko A. Wallace, od którego Darwin być może, powiem delikatnie, zapożyczył idę doboru naturalnego, postrzegał go zupełnie inaczej niż Darwin. Dla Wallace dobór naturalny był zasadą eliminacyjną, co jest zresztą zgodne z rzeczywistością, a niejak dla Darwina, zasadą twórczą. To tu jest kluczowe miejsce, w którym cały darwinizm jawi się jako bełkot, Wallace rozbija w pył twórczy charakter doboru naturalnego Darwina:

„W udomowionym zwierzęciu wszystkie odmiany mają równe szanse na kontynuację; a te, które zdecydowanie sprawiłby, że dzikie zwierzę nie będzie w stanie konkurować ze swoimi bliźnimi i kontynuować swego istnienia, nie są niczym w stanie udomowienia. Nasze szybko tuczące świnie, krótkonogie owce, gołębie i np. pudle nigdy nie mogłyby powstać w stanie natury, ponieważ pierwszy krok w kierunku takich form doprowadziłby do ich wyginięcia; jeszcze mniej mogłyby istnieć ze swoimi dzikimi towarzyszami."

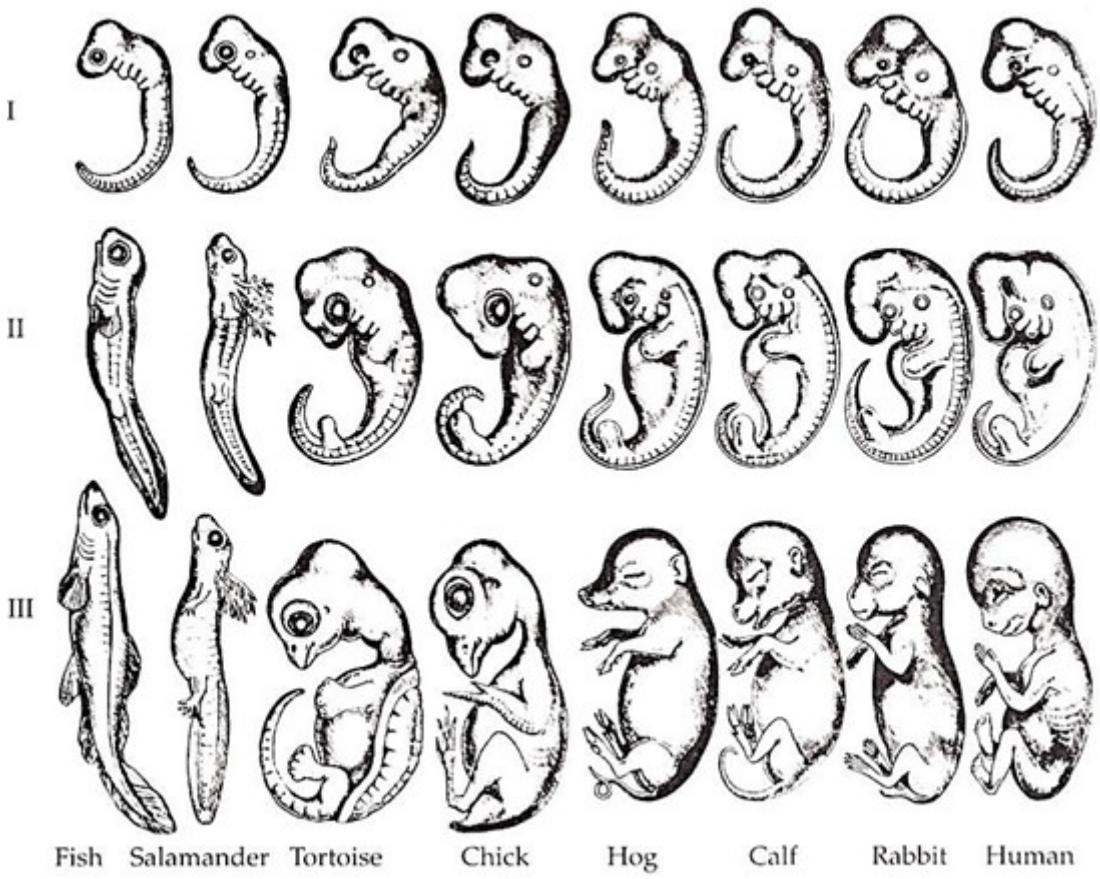
Znamienne jest, że w 1959 r. w Chicago na uroczystości 100 Lecia urodzin Darwina Julian Huxley (wnuk Thomasa) grzmiał, iż ewolucja nie jest już teorią, lecz faktem i „i nie zamierzamy zagłębiać się w semantykę i definicje". Walczący ateista i gorliwy darwinista Dawkins opowiada tego typu banialuki o ewolucji jako fakcie typu: „Oddalanie się kontynentów powszechnie uznawane za bezdyskusyjny, niepodważalny (w potocznym rozumieniu słowa fakt). Faktem jest, że mamy wspólnych przodków z jeżozwierzem i granatem (owoc)" Jakie podstawy są do powyższego porównywania? Żadne, jeśli nie liczyć Dawkinsa i jemu podobnych apostołów neodarwinizmu. Czy powiedział, na czym opiera się ten jego „fakt" tyczący przodków? A po co? Huxley też nie zagłębiał się w semantykę i definicje. Ewolucjoniści tak mają, „wyjaśniają" wszystko, co tyczy organizmów żywych działaniem doboru naturalnego, a jeśli ktoś zgłasza wątpliwości czy wręcz wskazuje bezwartościowość tych ich „wyjaśnień", całkowicie go ignorują albo nazywają negacjonistą oszołomem czy jakimi tam jeszcze płaskoziemcem. Właśnie, sam Darwin od definicji stronił – nie definiuje przecież kluczowego dla swojego dzieła pojęcia „gatunek" - i mają to do dziś jego spadkobiercy. Tylko przy mętności wywodu, rozmyciu znaczeniowym, mogą oni sobie twierdzić, że dobór naturalny jest czynnikiem sprawczym w ewolucji i powstawaniu nowych gatunków z już istniejących. Dziadek J. Huxleya z pewnością nie był tak entuzjastycznie, jak wnuk, nastawiony do darwinizmu, bo mimo czasem stosowanego wobec niego określenia „buldog Darwina", którego zresztą sam był autorem, miał poważne zastrzeżenia do idei Darwina: nie przekonywała go rola doboru naturalnego w powstawaniu gatunków, utrzymywał też, że nie ma dowodów eksperymentalnych na wspólnotę tychże, a ewidentne podobieństwa w budowie organizmów nie powinny być łączone z teorią ewolucji. Wprawdzie porzucił po pewnym czasie słowo archetyp do opisu podobieństw budowy w obrębie większych grup organizmów, ale nigdy nie odszedł od stosowanej przy tym, bez związku z ewolucją, metafory planu.

Podobny sceptycyzm wobec roli doboru naturalnego cechował Haeckel'a, tego wiernego apostoła Darwina, który mimo szczerych chęci nie znalazł argumentów, świadczących za rolą doboru w powstawaniu gatunków, jaką przypisywał jej Darwin. Nie inaczej było z Owenem, Spencerem i innymi naukowcami współczesnymi Darwinowi, którzy, owszem, idę ewolucji, jako zmiany przyjmowali, ale odmawiali, bardzo przytomnie zresztą, tzw. doborowi naturalnemu roli sprawczej.

Bardzo interesujące w kwestii doboru naturalnego były rozważania Galtona, kuzyna Darwina, o którym będziemy tu jeszcze mówić w dalszej części książki. Ów kuzyn posiadał wieletalentów, badał Afrykę, wydawał o niej książki, odkrył antycyklon, zapoczątkował klasyfikację odcisków palców, a więc jest ojcem daktyloskopii do dzisiaj stosowanej w kryminologii, a nade wszystko był doskonałym statystykiem mającym „bzika" na mierzeniu wszystkiego, co się dało mierzyć, np. pojemności klatki piersiowej rekrutów, wielkości nasion roślin i analizowaniu wyników tych pomiarów. W ten sposób Galton odkrył ważne narzędzie analityczne w statystyce,

zresztą stosowane do dzisiaj, a mianowicie regresję do średniej. Zauważył mianowicie, że w kolejnych pokoleniach obserwowane przez niego cechy nie ulegają kumulacji, jak chciał Darwin, tylko z „uporem maniaka" wracają do średnich wartości. Jeśli tak, a rzeczywiście tak było i jest, to postulowane przez Darwina „ciułanie" drobnych przekształceń dokonywanych przez dobór naturalny w rzeczywistości nie istnieje. A to przecież podstawa teorii Darwina, którą właśnie regresja do średniej rozbija w pył. Galton próbował ratować sytuację sugerując w „Dziedziczeniu naturalnym", że ewolucja toczy się zmianami nieciągłymi uniemożliwiającymi powrót cech osobników do wartości średnich, ale to i tak musiało sprawić, że Darwin przewracał się w grobie i nie mogąc bronić swej nie do obrony w istocie, teorii. Uważam, że Galton zadał, acz nieświadomie, potężny cios teorii kuzyna, której do tej pory nie udaje się jej apostołom poskładać w spójną całość i zasadnym może stawać się pytanie ile Darwina jest w neodarwinizmie.

Darwin korzystał pełnymi garściami z „badań" Haeckla tyczących rzekomych podobieństw w rozwoju embrionalnym zwierząt, co miało, wg. niego, dowodzić wspólnego ich pochodzenia.



Ryc.1. Embriony wg. Haeckla, od lewej: ryby, salamandry, żółwia, kury, świni,bydła, królika i człowieka.

Okazało się jednak, że ów wyznawca Darwina dopuścił się grubego nadużycia fałszując rysunki tyczące tegoż rozwoju. Później przez całe dziesięciolecia – zresztą do tej pory - powielano je w podręcznikach szkolnych i uniwersyteckich piorąc mózgi uczniów i studentów – później przyszłych nauczycieli. Szczególnie przekonujące miały być te z pierwszego szeregu: „uderzające" podobieństwo zarodka ryby i człowieka. Stały się one dla Darwina być może kluczowym dowodem w jego transmutacji gatunków, bowiem tak pisał w O powstawaniu gatunków... „na podstawie tego, co wiemy o zarodkach ssaków, ptaków, ryb i gadów, prawdopodobne jest, że zwierzęta te są przekształconymi potomkami jakiegoś dawnego przodka, który w stanie dorosłym był zaopatrzony w skrzela, pęcherz pławny, cztery płetwowate kończyny i długi ogon - wszystkie przystosowania do wodnego trybu życia.". W „Pochodzeniu człowieka" z tą nadinterpretacją danych z embriologii, w której Darwin nie był specjalistą, poszedł jeszcze dalej:„ Zarodek człowieka w bardzo wczesnym okresie rozwoju również nie różni się od zarodków innych kręgowców [ludzie i inne kręgowce] przechodzą [...] takie same stadia rozwoju embrionalnego[…] musimy otwarcie przyjąć teorię wspólnego ich pochodzenia".

Jednak najsłynniejszy embriolog europejski w czasach Darwina Karl Ernst von Baer kategorycznie nie zgadzał się z rzekomym podobieństwem zarodków różnych grup organizmów głosząc, że „embriony form wyższych nigdy nie przypominają żadnej innej formy, jak tylko te embriony".[20] Lenoir dodaje, że zdaniem von Baera darwiniści „zanim zajęli się obserwacją zarodków, z góry uznali już hipotezę ewolucyjną Darwina za prawdziwą"[21] I tu jest cały problem z Darwinem. Tzw. uczeni, na szczęście nie wszyscy, orzekli że jego bajeczka jest prawdziwa właśnie bez żadnych dowodów i do dzisiaj są głusi na argumenty wskazujące na notoryczne łamanie przez nich elementarnych standardów w badaniach naukowych. Bełkoczą, że ta ich ewolucja rozumiana jako przekształcanie się gatunków jedne w drugie, jest, a jakże, faktem.

To, co na początku swego rysunku – linia I - Haeckel przedstawiał jako wczesne stadia rozwoju zarodkowego, w rzeczywistości były stadiami środkowymi – tak mu pasowało, bo te pierwsze różniły bardzo znacznie zarówno co do rozmiarów, sposobów bruzdkowania jak i gastrulacji. Darwin z lubością powoływał się na te „rewelacje" Haeckla, jako na dowody rzekomo potwierdzające jego pokraczną hipotezę ewolucyjnego wyłaniania się gatunków z już istniejących. Funkcjonowało nawet „prawo" biogenetyczne Haeckla, później nieco modyfikowane, wedle którego ontogeneza miała być swego rodzaju powtórką filogenezy. Czy zdrowy człowiek może w to wierzyć, bo przecież dowodów nie ma żadnych? Biolodzy od ponad wieku wiedzą, że owo prawo w sposób oczywisty rozmija się z rzeczywistością. Może ktoś (spoza ich kręgu) mieć wątpliwości, że tzw. teoria ewolucji nie jest żadną teorią, a jedynie wiarą niedouczonych ateistów i różnej maści ignorantów? Nic nikomu do ich wiary, ale niech nie robią z niej nakazu dla osób, którym ona się jawi jako szkodliwa dla rozumu, człowieka, świata i cywilizacji brednia. Czy dzisiaj, w XXI wieku może ostać się teoria oparta na manipulacjach i fałszerstwach? Ha, ewolucjoniści odpowiadają na takie pytanie twierdząco. Tyle, że słuchają ich, tylko tacy sami jak oni i, co napawa otuchą, jest ich coraz mniej.

Darwiniści zaczynają bić na alarm na amerykańskich uniwersytetach, że zbyt mało studentów wybiera kursy zorientowane na ewolucję, próbują ich nawracać m.in. przez organizowanie Dnia Darwina, na której to imprezie zachęcają, szczególnie studentów nauk ścisłych do wybierania kursów, na których ewolucja ma być im przedstawiana w ujęciu interdyscyplinarnym i przez to łatwiejsza do zaakceptowania. Prawdopodobnie słusznie się obawiają, że jeszcze jedno pokolenie, góra dwa i ichnia „teoria ewolucji" przywłaszczająca sobie również prawo i tytuł do tłumaczenie pochodzenia człowieka od wytrwale poszukiwanego przodka wspólnego również małpom człekokształtnym, w społecznym odbiorze dokona wreszcie żywota. Jakaś tam wąska sekta ortodoksyjnych darwinistów żyjących z uprawiania poletka „ewolucja" pozostanie znacznie dłużej, ale tym przecież się nie zadowalają. Interesujące jest to, w jaki sposób tłumaczą przyczyny tego braku zainteresowania neodarwinizmem wśród studiującej młodzieży. Pierwszą przyczynę widzą w tym, że na uniwersytetach prawie nie ma wydziałów i programów (z wyjątkiem typowo biologicznych, np. antropologii), na których byłby obligatoryjny kurs (moduł) dotyczący ewolucji. Ja tu powiem „i chwała Bogu", że nie ma przymusu indoktrynacji młodych umysłów chorą ideą, że wszystko co na Ziemi żyje i żyło, to jedna wielka rodzina bliższych i dalszych krewniaków, jako że wszyscy mieli tego samego przodka. Druga przyczyną ma być taka, że w szkołach podstawowych i średnich uczniom wpajane są antyewolucyjne poglądy. Z tym akurat trudno się zgodzić, bo w USA bardzo dbają o to, by w szkołach, w których młodzież zapoznawana jest ideą kreacjonizmu, były również zajęcia prezentujące neodarwinizm. I po trzecie wreszcie, mała popularność idei globalnego spokrewnienia za sprawą pojedynczego przodka, ma wynikać z programowego rozdzielenia nauk ścisłych od humanistycznych – cokolwiek znaczy ten ich wywód, ja cieszę się że tak właśnie jest. To przecież młodzi są przyszłością świata, a kierując się szkiełkiem i okiem, potrafią w nauce odsiewać ziarno od plew tak w naukach ścisłych, jak i humanistycznych.

Darwin nie mógł czytać K. Poppera, ale znalazłby u niego, tak jak znajdują współcześni darwiniści, jeśli go czytają, przyzwolenie na rozmycie słów i znaczeń w dyskusji naukowych problemów, co jest wręcz u tego filozofa zaskakujące. Wprost trudno uwierzyć, że pisze on tak: „ Nigdy nie traktuj poważnie problemów dotyczących słów i znaczeń. Poważnie należy brać problemy faktyczne i stwierdzenia dotyczące faktów: teorie, hipotezy, problemy, dla których stanowią rozwiązanie, oraz problemy, które z nich wynikają." Nie pojmuję, jak filozof może sugerować takie podejście do języka w dyskursie naukowym?! I pomyśleć, że Leibniz, Frege tak usiłowali uściślić język naturalny, by jego składnię dopasować do reguł składni w logice. Rozumieli doskonale, że bez odpowiedniej precyzacji nazw występujących w zdaniach ustalenie, co jest prawdą, a co fałszem będzie trudne lub wręcz niemożliwe. U Darwina tej precyzji, wymaganej ścisłości języka właśnie nie ma; bo kluczowe nazwy, którymi on operuje nie są dobrze zdefiniowane. A dlaczego nie? Bo i dobór naturalny, i walka o byt, i przeżywanie najstosowniejszego, to nazwy puste. Jak można definiować coś, czego nie ma? Owszem, one mają sens, który uchwyci każdy, kto posługuje się językiem naturalnym, ale nie mają odniesień w rzeczywistości. Np. „X to pierwszy człowiek, który dotarł do jądra Ziemi" masens, ale przecież takiego człowieka nigdy nie było i nie ma, i nie będzie. Tak właśnie jak doboru naturalnego czy

darwinowskiej ewolucji biologicznej, choć na gruncie semantyki sens mają. Tylko co z tego?

Tak jak właściwie każda teoria naukowa, darwinizm opiera na pewnych założeniach i przedzałożeniach filozoficznych, co samo w sobie nie jest czymś nagannym. Problem jest tylko w tym, że teoria ta czy jej resuscytacja-teoria syntetyczna (neodarwinizm),w przeciwieństwie do innych teorii znaczących dla naukowego opisu rzeczywistości, wbrew temu co twierdzą jej wyznawcy, poza owe założenia nie wyszła. Mają zero dowodów, a to co uważają za dowody, jest zwyczajnym ble, ble nic niemającym wspólnego z racjo. Jeśli tak, to neodarwinizm w niczym nie jest lepszy od teorii niedarwinowskich, a tym bardziej od teorii kreacji. Jedynie uzurpuje sobie pozycję na szczycie, z którego trąbi na cały na świat, iż zna prawdę o pochodzeniu życia, bogactwa gatunkowego organizmów, także prawdę o początkach nas samych. Tyle tylko, że ta prawda darwinistów ma status trzeciej prawdy góralskiej, o której pisał prof. ks. Tischner.

Darwiniści już pierwszych dekadach funkcjonowania w świadomości ludzi nauki i szerszych kręgów społecznych ich biblii, zdawali sobie sprawę, że jednak nie tłumaczy ona wszystkiego w kwestii powstania gatunków na Ziemi. Kiedy darwinizm wydawał się być już martwy jęli go przywracać do życia włączając doń genetykę Mendla (do dzisiaj nie wszyscy ewolucjoniści zdają sobie sprawę, że genetyka Mendla dobiła darwinizm), a później także Morgana tworząc tak tzw. syntetyczną teorię ewolucji czyli neodarwinizmu, łączoną zwykle nazwiskami Dobzhansky'ego, Huxleya, Mayra i Simpsona, a oficjalnie ogłoszoną na uroczystości 100 Lecia „O powstawaniu gatunków…" w 1959. Ale z biegiem dziesięcioleci pojawiają się jednak wśród ewolucjonistów głosy, ze neodarwinizm też jest już tu niewystarczający i proponują rozszerzoną syntezę ewolucyjną włączając do poprzedniej nieznane wcześniej wyniki badań z zakresu ewolucyjnej biologii rozwoju (evodevo), genomiki, ekologii i wielu innych. Jednak rdzeń, korzeń tych nowych konstrukcji, czyli adaptacja (modyfikacje) jako wynik doboru naturalnego, tj. pierwotny darwinizm jest, co chcę wykazać w tej książce, z gruntu fałszywy. Jeśli tak, to te nowe, następujące po sobie konstrukcje teoretyczne obejmujące teorię ewolucji też, z naukowego punktu widzenia, są nic nie warte. Trupa, nawet w XXI wieku żaden szarlatan czy ich mnogość, nie zdoła ożywić.

Futujma przyznaje, że od czasu, gdy Dobzhansky zdefiniował ewolucję, jako zmianę częstości alleli w populacji, populację zaczęto uważać, i tak jest do dzisiaj u ewolucjonistów, za jednostkę ewolucji. Nie jest nią gatunek, nie jest nią także osobnik. Ale Darwin uważał, że tą jednostką właśnie jest konkretny osobnik. I jeśli już trzeba opowiedzieć się z którymś z tych stanowisk odnośnie tego co jest jednostką ewolucji, to wybieram Darwina, mimo iż odrzucam tę jego ewolucję.

Zmiana częstości genów w populacji jest tylko pewnym zapisem matematycznym, który fizycznie nie ma nic wspólnego z fenotypem, bo populacja nie ma fenotypu (co miałoby nim być). Fenotyp to cecha osobnika i jeśli istnieje jakaś presja selekcyjna i działa dobór naturalny, to na osobnika właśnie. Oba stanowiska wykluczają zatem ewolucję Darwinowską : różnią sięco do jednostki ewolucji (osobnik czy populacja), jak też co do jej mechanizmu (zmiany w częstości genów czy adaptacja na poziomie osobników do warunków środowiska), a jedno i drugie ma swoich wyznawców wśród ewolucjonistów. Oto ewolucyjny, zakłamany gmach drży w posadach, jest wewnętrznie sprzeczny!

Zwróćmy uwagę jeszcze raz: dobór naturalny (rdzeń darwinizmu) może oddziaływać tylko i wyłącznie na osobniki, a nie na populacje, a tym bardziej na gatunki.Te dwa ostatnie zbiory są tu jedynie skutkiem matematycznej operacji dodawania, tak samo jak pula genowa (suma genów osobników w populacji). Ewentualnej adaptacji w wyniku zmiany w genotpie, może podlegać tylko osobnik, bo tylko on jest nosicielem genów i przedmiotem działania doboru naturalnego, o jakim prawią darwiniści. Różne, wzajemnie się wykluczające stanowiska w kwestii tego, co jest jednostką ewolucji biologicznej dowodzą, że takowa, rdzennie Darwinowska ewolucja nie istnieje. Żadna z teorii ewolucji tj. ani neodarwinizm, ani tzw. rozszerzona teoria, nie odjedzie od genetyki populacyjnej, bo jest ona jedyną, powtórzmy jeszcze raz, jedyną, ich podstawą empiryczną pozwalającą na pomiar częstości genów w pulach genowych i cech w populacjach. I nic więcej. Bez niej pozostaje już, co sami zaczynają dostrzegać, ewolucyjny bełkot.

Oprócz dziedziczenia pozagenowego, które samo w sobie zadaje cios prymatowi genów zrzucając z ewolucyjnego tronu geny, rozszerzona synteza ewolucji, ma obejmować, m.in. znane od początku badań ekologicznych nisze ekologiczne, które od dziesięcioleci poznają uczniowie szkół podstawowych i średnich. Cóż w tym odkrywczego, że oprócz „adresu" (siedliska) dany gatunek ma dodatkowo swoją rolę („zawód") w łańcuchu troficznym tj. tzw. niszę; co to ma mieć wspólnego z Darwinowskim powstawaniem gatunków, w jaki niby sposób budowa nisz ma stać się dodatkowym procesem ewolucyjnym, którego nie rozpatrywano w standardowym modelu teorii ewolucji? Może, po prostu, nie zajmowano się niszami, bo zwyczajnie nie mają one żadnego znaczenia dla opisywanego w nim sposobu powstawania gatunków. Wprowadzanie nisz ekologicznych dodatkowo po prostu mąci i tak bardzo mętne rozważania darwinizmu czy też neodarwinizmu. Ale może w tym metoda : namieszać, zabełtać, by łatwiej wmawiać ludziom, że owszem, transmutacja gatunków, o której na poważnie zaczął ludziom opowiadać Darwin jest faktem – patrzcie świadczy o tym, np. to, że krety kopią nory, bobry budują żeremia, a termity swoje kopce. No i jak tu nie kpić z takiej „nauki"? Zwolennicy rozszerzonej syntezy mówią wprost o „dziedziczeniu ekologicznym", które definiują jako „każdy przypadek, w którym organizmy napotykają zmodyfikowaną relację cechaczynnik między sobą a środowiskiem, gdzie zmiana presji selekcyjnej jest konsekwencją wcześniejszego zbudowania niszy przez rodziców lub inne organizmy przodków". Ta dziwaczna definicja ulega samo dyskwalifikacji, bo niszy ekologicznej nie buduje żaden gatunek, ani rodzicielski, ani gatunek przodka – by użyć tej ich nomenklatury. Niszę gatunek może tylko zająć, a wyznacza mu ją ekosystem. Widzimy już niedorzeczność dziedziczenia ekologicznego? Na podobnych niedorzecznościach opiera się cała ta ich „teoria".

Trudno wprost uwierzyć, ale wygląda na to, że darwiniści nigdy nie rozumieli i dalej nie rozumieją czym jest zmienność fenotypowa i mnożą niepotrzebne (nikomu oprócz nich) terminy, które mają dodać naukowej powagi ich bajkom. Tworzą więc jakieś potworki językowe typu „akomodacja genetyczna", „gen naśladowca", „efektBaldwina", które wiążą plastyczność fenotypową z przeszłością ewolucyjną (wiedzą, że takowa była) gatunku i kształtowanie normy reakcji (granic zmienności fenotypowej) przez dobór naturalny. No i podają „dowody", że te ich terminy mają odniesienie do rzeczywistych zjawisk w przyrodzie. Oto piszą o rozwielitkach, które w kontakcie z nowymi rybami, którym łatwiej upolować skorupiaki ciemniejsze, tracą zdolność melanizacji pod wpływem UV. I cóż tu takiego z ewolucji rozumianej, jako transmutacja gatunków? Ano nic. Zwyczajnie, w populacji rozwielitek przeżywają te, które nie są ubarwione ciemniej. Gdyby ich drapieżcy zniknęli, skorupiaczki powróciłyby do swego ubarwienia, bo te rozwielitki pozostawały wciąż tymi samymi rozwielitkami. Albo anadromiczne (wędrują na tarło w górę rzeki) cierniki morskie hodowane w warunkach zbliżonych do warunków w jeziorze, zaczynają przypominać cierniki naturalnie żyjące w jeziorach. Nic nowego pod słońcem, znana od wieków zmienność fenotypowa, która dobrze sobie radzi bez etykiet ewolucyjnych. Albo „badanie" wykazujące, że węże tygrysie hodowane kilka miesięcy w wodzie szybciej pływają niż ich rodzeństwo lądowe. Rzecz jasna, takich kabaretowych badań jest dużo więcej. Darwiniści uważają chyba, że jeżeli coś nazwą po swojemu, to zaraz z tego czegoś uczynią kolejny „dowód" na prawdziwość swoich bajek. A to zwykła bzdura.